

WIELKA UCIECZKA WAWELSKIEGO SMOKA

(fragment krakowski)

Robb Maciąg

Wszystkie imiona, miejsca, budynki i tradycje występujące w tej książce są prawdziwe.

Jam jest Wawelski Smok. Ten sam, którego znacie z legend o porwanym bydle czy zastraszonych białogłowach, i ten sam, który pękł, opiwszy się wodą z Wisły.

Dziś, po latach, kiedy to wszyscy już o mnie zapomnieli, mogę Wam opowiedzieć, jak było naprawdę. Kto porywał, kto zastraszal i kogo otruto owcą pełną smoły i siarki.

To, czego sam nie widziałem, opowiem Wam, powtarzając słowa ludzi mi bliskich, znanych z tego, że byli dobrzy, kochali się mocno i mówili prawdę.

Wiele lat temu, gdy się z nimi żegnałem na krakowskim dworcu kolejowym, nie wierzyłem, że jeszcze ich spotkam. Jednak koleje mojego życia splatały mi figla i dane mi nie tylko bawić ich dzieci, ale i wnuki.

A było to tak...

Kraków

Zabić tę poczware

Padła deszcz. Drobny, wstrętny, lepiący się do wszystkiego, krakowski kapuśniaczek. Mżawka, którą ledwo widać, ale czuć na twarzy i za kołnierzem.

Szewczyk Kuba siedział nad brzegiem Wisły i nie zważając na tę niby mgłę, niby deszczyk, dumiał. Przeżywał bowiem rozterkę – kilka dni temu król na zamku krakowskim wydał dekret, że ten, kto zabije Smoka Wawelskiego, otrzyma córkę jego za żonę. Z jednej strony szewczyk marzył o rękę królowej – znali się od lat, byli kimś więcej niż przyjaciółmi i po cichu, na przekór wszystkiemu, marzyli o wspólnym życiu – ale z drugiej strony nie umiał sobie wyobrazić, jak mógłby kogokolwiek zabić.

Nie żeby nie potrafił. Zabijał już nie raz kury, gęsi, a nawet króliki w zagrodzie swojej babci, ale zglądzenie smoka to co innego. To nie miało być „na obiad”. To oznaczało zaplanowane morderstwo w imię zemsty za kradzione bydło i porywane niewiasty z wizją ślubu z królową w nagrodę.

Niby wszystko było zgodne z dekretem królewskim i już niedługo nie jeden rycerz miał się starać zabić wielkiego gada, ale Kubie nijak się to nie podobało.

– I co ja mam teraz robić? – westchnął ciężko.

Zabicie smoka było jedyną szansą, by on, zwykły szewczyk, mógł poślubić swoją ukochaną, ale nie umiał się na to zdobyć. Smok, wstrętne poczwara, jak nazywali go w Krakowie, porywał ponoć bydło.

„Ale czy ktoś to kiedyś widział? Czy to nie plotki? Złe ludzkie języki zazdroszczące smokowi siły? A może to kto inny zabija krowy i porywa niewiasty? Może smok jest tylko kozłem ofiarnym

przebiegłych porywaczy?“ – dumiał szewczyk, patrząc na łabędzie pływające spokojnie po Wiśle.

A nawet gdyby to smok był naprawdę winny ginącemu bydłu? Przecież nie jest królikiem, któremu wystarczą do jedzenia marchew i świeże liście mleczy. Nie jest też

wróblem czy gołębiem mieszkającym na krakowskim rynku, który naje się ziarnami kupionymi przez turystów czy starą bułką podrzuconą przez miłą staruszkę.

Smok jest smokiem i coś jeść musi. Na przykład krowy i owce. Taki już jego los. Sam go sobie nie wybrał. A może by się tak dało ze smokiem dogadać? Broniłby Krakowa przed napadami Tatarów w zamian za jedzenie?

Nikt tego jednak nie próbował. Prościej jest straszyć smokiem dzieci, kobiety i co najgorsze – króla.

Pewnie. Na smoka najłatwiej wszystko zrzucić.

Wielki, brzydki, zionie ogniem. Wszystko, co najgorsze. W dodatku nie może się bronić i wytłumaczyć.

Szewczyk miał nie lada dylemat. Nie chciał zabijać smoka, bo nie wierzył w ludzkie plotki, a jednocześnie bardzo pragnął, by obiecana królewna została jego żoną. Był w kropce, jak to mówią.

Mżawka wcale nie ustawała. Szewczyk wstał, chciał strząsnąć z siebie krople wody, ale deszcz kompletnie przemoczył jego płaszcz i nic z tego nie wyszło. Wyrzucił więc z kieszeni przemoczone resztki chleba w stronę nadpływającego łabędzia i poszedł do warsztatu. Musiał jeszcze skończyć przybijanie obcasów do trzewików jednej z dam dworu.

Biznesowe problemy niejakiego Waldka

Za sprawą królewskiego dekretu o wydaniu królowny za pogromcę smoka od kilku dni na łąkę pod pieczarą zjeżdżali się rycerze. Rozstawiali swoje wielobarwne namioty i szykowali się do boju ze smokiem. Ich przygotowania polegały głównie na polerowaniu zbroi, poprawianiu piór na hełmach i odmalowywaniu świeżą farbą swoich herbów na tarczach. W przerwach pomiędzy jednym a drugim spacerowali niby od niechcienia pośród namiotów konkurentów. Zakładali wtedy najlepsze weselne stroje, by pokazać innym, jak wytwornie będą wyglądać na weselu, którego każdy z nich był całkowicie pewien.

Całe to zbiegowisko było jednak nie w smak niejakiemu Grubemu Waldkowi, znanemu w całym Krakowie biznesmenowi o podejrzanej reputacji. Jego problem był dość specyficznej natury. Wcale nie żałował bestii i miał gdzieś obiecaną rękę królowny – śmierć Wawelskiego uderzyłaby w jego interesy związane tak mocno z kradzieżą bydła i owiec, o które obwiniano smoka.

Waldek siedział w łodzi przycumowanej do lewego brzegu Wisły i spoglądał na obozowisko pełne kolorowych namiotów.

– Nie będzie smoka, nie będzie kogo obwinić za kradzieże i porwania – mruknął do swoich kamratów. – Musimy szybko coś wymyślić! Coś, co uratuje smoka, pokona rycerzy, a nam pozwoli dalej kraść.

– Mam! – krzyknął Bogdan Bez Palca i klasnął radośnie w dłonie. – Zastawmy pułapkę w tunelu prowadzącym do jaskini!

– Czyś ty kompletnie zgłupiał? – zirytował się Gruby Waldek. – Pułapkę? A niby po co?

– No jak to po co? – Bogdan był lekko zdziwiony. – Gdy któryś z rycerzy wjedzie do jaskini, by pokonać smoka, wpadnie w naszą zasadzkę. Uśpimy go i po cichu wywieziemy gdzieś baaaardzo daleko. Inni pomyślą, że to smok go pożarł, wystraszą się i odjadą. W istocie smok będzie żył, a my dalej będziemy mogli kraść bydło i porywać niewiasty.

– A rycerz nikomu nie opowie, co się naprawdę stało?

– No co ty?! Wstyd mu będzie, że niczego nie pamięta. Możemy mu jeszcze przykleić kartkę do zbroi z jakimś śmiesznym napisem. Na przykład: „Spałem zamiast zabić smoka“. Głupio mu będzie i nikomu nic nie powie.

– Bogdanie! – rzekł uroczyście Waldek z uśmiechem niemal tak szerokim jak Wisła w Krakowie. – Jesteś geniuszem! Przypomnij mi, bym zrobił z ciebie mojego zastępcę, gdyby Grzesiek Bez Zęba kiedyś zginął. Choćby stratowany przez którąś z krów.

– Niedoczekanie wasze – powiedział ponuro Grzegorz, patrząc bykiem to na Waldka, to na Bogdana. – Niedoczekanie wasze, powiadam wam, kamraci. Jeszcze się taka krowa nie urodziła, coby mnie stratać miała.

– To się jeszcze okaże – szepnął Gruby Waldek, ale pod nosem i tylko do siebie.

Kilka dni później, zanim którykolwiek z rycerzy ruszył przeciwko smokowi, Waldek i jego pięciu kamratów zbudowali cichcem pułapkę w tunelu wiodącym do smoczej jaskini. Pułapka była to niesłychana, wręcz doskonała, a składała się z gramofonu i wielkiej szafy z podwójnym dnem. Plan wyłapania rycerzy przewidywał, że ich melomańskie zapędy nie pozwolą im się oprzeć muzyce wydobywającej się z tuby urządzenia. Muzyka miała być nieco zniekształcona, sprężyna lekko niedociągnięta, a wszystko po to, by rycerze, nie mogąc znieść fałszującego gramofonu, weszli do szafy, by go naprawić. W środku, ukryte za dodatkową ścianą, Waldkowe zbiry miały ich po kolei ogłuszać uderzeniem w głowę drewnianym młotkiem, a następnie chować do skrzyni pod szafą wyłożonej konwaliami. Konwalie, jak już od dawien dawna wiadomo, charakteryzują się właściwościami usypiającymi. Dzięki temu Waldek miał mieć pewność, że żaden z rycerzy za szybko się nie zbudzi.

Okazało się jednak, że szafa do niczego nie będzie potrzebna.

Jaskinia

Niemal wszystko, co znajdowało się w smoczej jamie, Smok Wawelski znalazł w trakcie jednego ze swoich spacerów po Krakowie. Stół, fotel, nawet obraz, który wisiał nad stołem, Wawelski wypatrzył na ulicy Gołębiej, przechadzając się nią pewnego deszczowego dnia. Malowidło przedstawiało wielką, ośnieżoną górę, a podpis pod nią informował, że to Ararat. O takiej górze jeszcze nie słyszał, więc zabrał obraz ze sobą. Ktoś wyrzucił go tylko dlatego, że szybka była nieznacznie pęknięta. Smokowi wydało się to dziwne, bo obraz był nie tylko przepiękny, ale i w idealnym stanie. Jak na znaleziony oczywiście.

W ten sam sposób trafiły do jaskini bordowa lampka z abażurem w kwiaty, cztery drewniane wieszaki, czarny stojak na parasole i krzesło z trzema nogami, na którym nie dało się co prawda siedzieć, ale które doskonale nadawało się na półkę na książki.

Smok nigdy nie widział Krakowa w pełnym słońcu. Wszystko dlatego, że te jego spacery, z oczywistych względów, odbywały się tylko w nocy lub przy bardzo brzydkiej pogodzie. Odkrył kiedyś, że gdy pada deszcz, wszyscy ludzie patrzą pod nogi, wysoko stawiają kołnierze lub zakładają kaptury i zwyczajnie nikt go nie zauważa, a co za tym idzie – nikt nie wzywa strażników, nikt go nie chce zabić, pojmać, porwać, obrzucić kamieniami i tak dalej. Dzięki ciemności lub brzydkiej pogodzie Wawelski mógł chodzić po Krakowie, podziwiając przepiękne kamienice, wystawy sklepowe, czy zaglądać przez wielkie okna do restauracji i nikt, ale to nikt, go nie dostrzegał.

Tylko raz, gdy wiatr rozwiął gradowe chmury, zanim smok dotarł do pieczary, znalazł się Wawelski na Plantach w pełnym słońcu. Było to dnia, gdy snuł się powoli uliczkami Starego Miasta, mijając Rynek i Barbakan. Spacerował spokojnie, bo pogoda była okropna, więc Kraków był tylko do jego dyspozycji. Wiedział, że nie musi się nigdzie śpieszyć, bo podejrzwał w leżącym na sklepowej wystawie „Kurierze Krakowskim“, że przez cały dzień ma być wyjątkowo brzydko.

Wszedł beztrąsko na Planty, gdy nieoczekiwanie deszcz przestał padać. Wiatr rozdmuchał na moment chmury, z których przez

godzinę padał drobny deszcz i na ulicach zrobiło się gwarno. Promienie słońca odbijały się od mokrych liści i ławek.

Ludzie złożyli niepotrzebne już parasole i rozglądali się wesoło za tęczę, która w taką pogodę musiała się przecież pokazać.

Smok stał niczym legendarny słup soli i patrzył z przerażeniem na kręcących się wokół ludzi. Wiedział, że za chwilę go rozpoznają, że rozlegnie się przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety i gwizdki strażników, i że znów będzie musiał uciekać, choć nikomu nigdy nic nie zrobił. Był po prostu inny, a ludzie ciągle bali się tego „innego” i to im wystarczało, by straszyć nim niegrzeczne dzieci.

– Proszę pana! – usłyszał Smok tuż obok siebie. – Proszę pana! – powtórzyła dziewczynka, która pociągnęła go lekko za płaszcz, patrząc na niego zmartwionym wzrokiem.

– Tak? – odezwał się nieśmiało. Głos mu się lekko łamał, bo wciąż czekał na krzyk, gwizdki i ucieczkę.

– Pan się chyba zgubił, prawda? – zapytała dziewczynka.

– Zgubił? Co masz na myśli? – Smok próbował ukryć swój strach.

– No zgubił. Z cyrku. Pan ma takie przebranie jak tacy dwaj inni panowie, których wczoraj widziałam w cyrku. Stał taki wielki namiot na Błoniach. A teraz już tego namiotu nie ma, a pan tutaj dalej stoi i się rozgląda, więc pomyślałam, że pan się może zgubił.

– A tak, tak, no oczywiście – odparł smok. – Bo widzisz, ja nie jestem z Krakowa, a chciałem dojść nad Wisłę. W którą to stronę?

– To bardzo łatwe. Mogę pana zaprowadzić. – Nie pytając więcej, chwyciła go za rękę. – Panu chyba strasznie zimno, proszę pana. Ręce się panu trzęsą – dodała.

Ruszyli powoli w stronę rzeki. Smok wciąż jeszcze nie mógł opanować nerwów i gdy tylko ktoś zbyt bacznie zaczynał mu się przyglądać, unosił lekko kapelusz i wołał w stronę gapia: „Zapraszamy do cyrku! Dziś wieczorem ostatnie przedstawienie! Proszę zabrać całą rodzinę, a nawet kota i psa!”. To mówiąc, nie oglądał się za siebie i szedł dalej. Co jakiś czas, dla odwagi, podjadał rodzyнки, które nosił w kieszeni płaszcza. Zawsze, gdy było mu źle, poprawiał sobie nimi humor, a dziś potrzebował ich bardziej niż zwykle. W końcu pożegnał się z dziewczynką, podziękował jej

Podoba Ci się?

pięknie za pomoc, a gdy odchodziła w podskokach, pomyślał, że wśród wszystkich ludzi, których czasem spotykał, krzyczących i wytykających go palcami, jeszcze nigdy nie było dzieci. Teraz

szedł już sam i choć starał się iść powoli, nonszalancko, jakby to był najzwyczajniejszy spacer, ręce trzymał w kieszeni – tak mu się trzęsły ze strachu.

W międzyczasie zapadł zmrok. Smok szedł coraz wolniej, wracała mu pewność siebie. Miał ochotę zagadać do ludzi, przedstawić im się, podać rękę i powiedzieć: „Widzi pan, to ja, Smok, wcale nie jestem taki, jak o mnie piszą w gazetach“, ale się nie odważył. Doszedł do pieczary, prześliznął się w ciemności obok wartowników i zamknął po cichu ciężkie wrota.

Łabędzie

Był świt. Właśnie ten moment, gdy późną wiosną, tudzież wczesnym latem, nad Wisłą rozciąga się delikatna mgiełka. Wstające zza horyzontu słońce rozświetla ją wtedy na pomarańczowo i świat staje się piękniejszy, a błękitne niebo czystsze. Na dworze jest wtedy na tyle zimno, że mało kto spaceruje dla przyjemności, a na bulwarach spotyka się tylko ludzi wyprowadzających psy. Woda rzeki wydaje się wtedy idealnie spokojna i ciepła.

Właśnie takiego poranka Smok przepływał już po raz dwudziesty w poprzek rzeki, za każdym razem walcząc z powolnym prądem wody. Gdyby tego nie robił, odpływałby coraz dalej od jaskini, a wtedy, by do niej wrócić, musiałby albo przepłynąć spory kawałek pod prąd, albo zwyczajnie wyjść z wody i przespacerować się, ale to skończyłoby się alarmem na zamku, a na to nie miał ochoty. W dodatku byłby zmuszony chodzić mokry, a na to nie miał ochoty nawet bardziej niż na zabawę w berka z krakowską strażą.

Gdy tak płynął dwudziesty pierwszy raz tego dnia, na brzegu zauważył stado łabędzi. Smok żył w dobrej komitywie z ptakami, bo oddawał im wszystko, co znalazł, a co nadawało się dla nich do jedzenia. W zamian za to ptaki zbierały z brzegu zapomniane przez spacerowiczów książki oraz gazety i przekazywały je Smokowi. Czasem książki były w tak porządnym stanie, że Wawelski zastanawiał się, czy aby na pewno ktoś o nich zapomniał, i wręcz podejrzewał łabędzie o zwykłą kradzież. Takie książki oznaczał i gdy tylko kończył lekturę, rozkładał je to tu, to tam po bulwarach, mając nadzieję, że ktoś je znajdzie i się ucieszy.

Dziś jednak łabędzie nie czekały na niego z książką czy gazetą. Dziś wyczekiwały go z wiadomością.

– No dalej, mały, powiedz Smokowi, co słyszałeś – namawiała swoje młode najstarsza z łabędzic. – No, nie wstydź się. To bardzo ważne.

– Ale mamooooo... – zaczął mały – ja się go boję.

– Przecież to Smok Wawelski, pływamy często razem, znasz go. – Ale ludzie mówią o nim taaakieeee straszne rzeczy, mamoo.

– Tak, oczywiście, a o nas mówią, że jesteśmy takie piękne i mądre, a sam wiesz, że twój wujek to ani jedno, ani drugie. Nie marudź, tylko opowiadaj.

Smok stał po szyję w wodzie, ukryty przed spacerowiczami za wiślaną mgiełką, i czekał, aż młody łabędź odważy się na opowieść. Do brzegu podbiegł nagle pies, zaczął szczekać, łabędzie w popłochu wypłynęły na środek rzeki i znalazły się oko w oko z Wawelskim.

– Dobrze, opowiem – ośmielił się łabędź – pan wie, że gdy się tak koło ludzi pływa, to oni rzucają nam coś do jedzenia. Chleb najczęściej. Mama mówi, żeby tego nie jeść, bo to niezdrowe, ale sam pan wie, jak to jest. Czasem trudno się oprzeć. No i jak wczoraj pływałem sam koło przystani, tam, gdzie stoją łodzie, to na jednej z nich siedzieli ludzie i o panu gadali, a właściwie to się śmiali, że znowu ukradli kilka krów i że będzie na pana. I mówili jeszcze, że to byłaby dla nich... ta..., no, katastrofa, jakby ludzie pana z Krakowa przepędzili albo zabili, bo oni nie mogliby wtedy tych krów kraść.

Smok stał nieruchomo w wodzie i nie wiedział, co czuje. Nareszcie odkrył, skąd w ludziach tyle strachu i złości. Obudził się w nim gniew. Woda dookoła zrobiła się tak ciepła, że łabędzie odpłynęły kawałek, bojąc się, że nagle zionie ogniem albo zrobi coś jeszcze gorszego.

Wawelski nabrał wody w usta i trzymał ją do momentu, gdy poczuł, że albo się uspokoi, albo udusi. Łabędzie podpłynęły bliżej i otoczyły go szczelnie, bo coś im podpowiadało, że Smok potrzebuje teraz przytulenia. Wszyscy na chwilę znieruchomieli. Woda przepływała między nimi jak zawsze, słońce stawało już coraz wyżej, a mgła rozrzedzała się szybko. Smok, chcąc nie chcąc, musiał wracać do jaskini. Pragnął pobyć sam. Dziś, jak w żadnym dniu swojego życia, nie miał ochoty nikogo spotkać. Bał się, że puszczą mu nerwy i zrobi komuś krzywdę, że wybuchnie ogniem albo zwyczajnie na kogoś nakrzyczy. Był ranek, dzień się dopiero zaczynał, a Wawelski już chciał, by się skończył.

Królewskie śniadanie

Król i królowna siedzieli razem przy stole i jedli naleśniki na drugie śniadanie. Nie było to danie królewskie, którym mogliby się pochwalić przed innymi władcami, ale oboje uwielbiali naleśniki i jadali je dość często, nie zważając na to, czego od nich oczekiwano.

Od kilku dni na Wawelu pojawiali się co rusz nowi rycerze przyjeżdżający do Krakowa z wielu zakątków Europy. Wszystko za sprawą królewskiego dekretu dotyczącego smoka i ręki królowny. Smok był jednym z ostatnich w Europie i niejeden rycerz szukał w Krakowie szansy nie tylko na ślub, ale i piękne trofeum, jakim byłaby głowa poczwary wisząca w sali kominkowej.

Królowna, początkowo zła na ojca, szukała teraz innych sposobów, by zmienić zdanie.

– Tatoooo! – zawołała dokładnie tak, jak wołają córki, gdy czegoś chcą.

– Tak? – zapytał król, nie podnosząc oczu znad gazety.

– A dlaczego ja muszę w ogóle wychodzić za mąż?

Król zaczął nagle kaszleć, bo właśnie podjadał rodzinę i gdy usłyszał pytanie córki, omal się nie zakrztusił.

– Czy ty chcesz zabić swojego starego ojca? – zapytał po chwili z wielkim uśmiechem, przecierając łzy, które napłynęły mu do oczu, gdy się dławił.

– Jaaaaa? Nieeeee. Ale tak sobie pomyślałam, że skoro moim mężem ma być ten, który zabije smoka, to ja chyba wcale nie chcę mieć męża. Już wolę, żeby ten smok żył, a ja sobie jakoś poradzę.

Król spojrzał na córkę z mieszaniną dumy i wielkiej miłości.

– Widzisz – zaczął – tak to już jest na tym świecie, że jeśli się jest królowną, to trzeba mieć swojego królewicza. Potem ma się małe królewiczatka, wychowuje się je, a potem się człowiek starzeje.

– Ale taaatooo... To przecież bez sensu. Czy nie możesz zrobić czegoś, żebym nie była królowną? Na przykład **ABDYKOWAĆ**?

– Abdykować? – Król zrobił wielkie oczy. – Abdykować? A skąd ty znasz takie słowo? – Kolega mnie nauczył.

– Kolega? A co twoi koledzy wiedzą o abdykacji, co? Kim to on jest, ten twój kolega, że o takich rzeczach ma pojęcie?

– Ale taaatooo... Nie można by tego, co już na tym świecie jest, jak to mówisz, zmienić? Nie możesz być pierwszym królem na świecie, który to zmieni?

Król nie odpowiedział, bo nie miał pomysłu, co mógłby takiego powiedzieć. Jego córka miała absolutną rację, a on – związane ręce.

– Wiesz co, tato... – nie dawała za wygraną Królowna, wytrącając go z zadumy. – Jest jeszcze inny sposób, by to wszystko odwołać. Każę fryzjerowi zafarbować moje włosy na zielono, albo lepiej – zupełnie je zgolę. Żaden z rycerzy nie będzie mnie chciał za żonę i wszyscy stąć wyjadą. Mogę się jeszcze nie myć przez kilka dni albo nawet tygodni. Zobaczą, jaką paskudę przyjdzie im wziąć za żonę – to mówiąc, ucałowała ojca w czoło i pobiegła do swojego pokoju. Król, nauczony doświadczeniem, siedział cicho. Zdawał sobie sprawę, że żadna dyskusja nie ma sensu i jeśli powie tylko słowo, Królowna naprawdę zrobi to, co zapowiedziała.

A tak, bez zbędnych komentarzy, istniała spora szansa, że to, co oznajmiła, uzna za żart.

Królowna usiadła na łóżku, wyjęła swój ulubiony notatnik i zaczęła w nim wytrwale rysować i coś zapisywać. W jej głowie rodził się powoli prawdziwy plan ocalenia smoka i własnego małżeństwa.

Jednak do uratowania jednego i drugiego potrzebowała oczywiście miłości swojego życia – szewczyka Kuby.

Tajne przejście

Kuba i Królowna znali się praktycznie od zawsze. Można by powiedzieć, że „od przedszkola”, ale w czasach, w których wydarzyła się ta historia, nikt jeszcze przedszkoli nie wymyślił. Kuba i Królowna znali się zatem od dziecka, kiedy to dziewczynka była bardzo chora i Król posłał swoich doradców do miasta po znachorkę, gdyż medycy nie byli w stanie niczego poradzić. Tak się szczęśliwie złożyło, że znachorką była babcia Kuby i tylko ona w całym Krakowie umiała postawić bańki. Tym sposobem Kuba, jako jej asystent, zawitał po raz pierwszy na zamku.

Dziewczynka oczywiście wyzdrowiała, ale znachorka przychodziła jeszcze kilkakrotnie na zamek, by sprawdzić, jak się czuje, i za każdym razem Kuba przychodził razem z nią. A to musiał babci ponieść torbę, a to zapomniała woreczka z ziołami na wzmocnienie i Kuba je donosił, a kiedy indziej bolała ją noga i potrzebowała wesprzeć się na wnuczku.

Wszystkie te powody były oczywiście zmyślane, ale nikt nie mógł zakazać znachorce przychodzenia z dzieckiem. Kobieta doskonale wiedziała, że jej wnuk polubił córkę Króla. Miała oczywiście świadomość, że tych dwoje pochodzi z dwóch odległych od siebie światów i nic tego nie zmieni, ale wierzyła mocno w przyjaźń między wszystkimi ludźmi i chciała dać dzieciom szansę. Nie przypuszczała tylko, że dziecięca sympatia przerodzi się w miłość.

Takich rzeczy nikt nie umie przewidzieć. Nawet ktoś tak mądry jak znachorka. ***

Gdyby tak stanąć pod drzwiami do komnaty Królowny, można by usłyszeć bardzo dziwny dialog. Na szczęście nikt nie stał, bo i nikomu stać nie było wolno. Królowna znana była ze swojego zdania, które wszyscy szanowali. Może i miała tylko osiemnaście lat i robiła czasem rzeczy tak nietypowe dla innych dziewcząt, jak bieganie po murach zamku czy skoki do rzeki z mostu na główkę, ale była przy tym uprzejma dla uprzejmych i surowa dla tych, którzy na to zasłużyli.

A na ludziach znała się doskonale. Wystarczyło jej kilka chwil, by rozpoznać, czy ktoś ma dobre serce.

– Ale ty go nie możesz zabić! – krzyknęła Królowna do Kuby, gdy oznajmił jej, w jakich okolicznościach Król zgodzi się na ich ślub. – Ty go nawet nie znasz! Tego smoka! – mówiła coraz głośniej.
– Ale... – wyjąkał szewczyk

– Jakie ALE? Czyś ty oszalał? Chcesz kogoś zabić, byśmy byli małżeństwem?

– Ale... – dukał dalej chłopak.

– Co ty mi tu z tym ALE? Jeśli go zabijesz, to ja nigdy za ciebie nie wyjdę. Słyszysz? NIGDY!

– Ale to jest smok! On porywa bydło i dziewice, straszy ludzi...

– Na razie to doradcy mojego ojca straszą ludzi! Nikt nigdy nie widział, żeby ten smok zrobił choć jedną z tych rzeczy. Wszyscy coś tam słyszeli, ale NIKT nie widział.

– Gruby Waldek twierdzi, że widział – bronił się Kuba.

– Gruby Waldek to zbir i kłamca. Słyszałam, co mój ojciec o nim mówił. Słyszałam też, że Król nie wie, co zrobić, bo ludzie panikują. Już nawet dzieci straszą smokiem, który z miesiąca na miesiąc wygląda straszniej i ma coraz dłuższe zęby w tych słynnych opowieściach.

– To co robimy? – zapytał niepewnie Kuba.

– Po pierwsze, nikogo nie zabijesz. Nawet dla mnie i nawet jeśli te wszystkie historie o smoku są prawdziwe. A po drugie, idziemy do niego.

– Do Króla?

– Nie do taty. Do smoka! Musisz go poznać. To bardzo miły jegomość.

– To ty go znasz? – niemal krzyknął szewczyk.

– No pewnie – z dumą odrzekła Królowna. – Od lat. Myślisz, że dla kogo podbieram ze stołu rodzinę? On je uwielbia. Chodź, sam zobaczysz.

Przed wejściem do jaskini jak zawsze stało dwóch strażników. Nudzili się okropnie, bo przy wejściu jeszcze nigdy nic się działo, ale stać musieli, bo tak im nakazał Król. Zrobił to dla świętego spokoju, bo choć nikt nie miał dowodów na winę smoka, wszyscy i tak wiedzieli swoje. Mało kto zdawał sobie sprawę, że wejście do

smoczej jamy, to od strony Wisły, zamknięte wewnątrz korytarza wielkimi, drewnianymi

drzwiami, jest tylko jednym z wejść. Istniało bowiem jeszcze drugie, bardzo wąskie i często zalane wodą po ulewnych deszczach, ale lepiej było dla miasta, gdy krakowianie o nim nie wiedzieli.

Wiedziała o nim Królowna, ale tylko dlatego, że kiedyś, bawiąc się w zamkowych krużgankach, weszła do zapomnianego korytarza w pogoni za piłką. Korytarz zwężał się tak bardzo, że tylko dziecko, lub ktoś bardzo szczupły, a takich na Wawelu było naprawdę niewiele, mógł dojść do jego końca i dojrzeć nikłe światło wydobywające się zza szafy. Była to oczywiście szafa stojąca w smoczej jaskini. Ta sama, na której Smok ustawiał znalezione książki i nadtłuczone filizanki, których miał już całkiem sporą kolekcję.

Tego dnia, gdy Królowna poznała Smoka, a Smok Królownę, Wawelski czytał akurat znaleziony dzień wcześniej poradnik dla hodowców gołębi. Gołębie, zwłaszcza te krakowskie, fascynowały go od zawsze. Wydawały mu się ptakami wolnymi i wyjątkowo sprytnymi, skoro ludzie sami przynosili im jedzenie w zamian za przyjazne gruchanie. Zafascynował się tematem i tym, jak wiele trzeba się nauczyć, by móc hodować gołębie pocztowe, i w momencie, gdy doszedł do rozdziału *Trening gołębi dla średniozaawansowanych*, usłyszał głośne stuknięcie, które kompletnie go zaskoczyło. Nie tyle sam dźwięk, bo zdarzało się nie raz, że znużeni strażnicy stojący u wejścia do jaskini rzucali czymś w drzwi, by sprawdzić, czy smocza jama jest prawdziwa. Zaskoczyło go to, że odgłos dobiegł od strony szafy. Z miejsca, z którego nie powinien dobiec.

Wawelski wstał niepewnie, patrząc podejrzliwie na mebel, i powoli go odsunął. Po drugiej stronie zobaczył wąski korytarz, o istnieniu którego nie miał pojęcia. Szafa i stół stały w jaskini, gdy się do niej wprowadzał, i jakoś nigdy ich nie odsuwał, by zobaczyć, czy coś się za nimi kryje. Zanim zdziwił się na dobre, zobaczył na ziemi niewielką zieloną piłkę. Podniósł ją, powąchał (pachniała naprawdę ślicznie) i odruchowo schował do kieszeni, kiedy z głębi korytarza usłyszał pewne siebie: „To moja piłka! Proszę mi ją oddać, bo jak nie, to powiem tacie“.

Tak właśnie Smok Wawelski poznał Królową.

– Ostrożnie, tu jest ślisko i musisz być cicho, bo Smok się wystraszy
– powiedziała szeptem Królowa. – Pójdę przodem, bo znam hasło
– dodała. Szewczyk szedł za nią jak zaczarowany. Nie zdążył jeszcze przetrwać nowiny, że JEGO Królowa zna smoka, a już szedł ze nią TAJNYM korytarzem, a ona wspomniała jeszcze, że zna HASŁO.

„Puk, puk, puk-puk-puk, puk” – rozległo się w smoczej jaskini.
Takie pukanie, jeśli w ogóle, zawsze słychać było od strony szafy, którą od pierwszego spotkania z Królową Smok ustawił na niewielkich kółkach, by sama mogła ją odsunąć.
– Jestem, jestem – odpowiedział na pukanie Wawelski i nie czekając, ruszył do kuchni zagotować wodę.

– Dzień dobry, Smoku kochany! – przywitała się Królowa i od razu dodała: – nie jestem sama, ale niczego się nie bój.
Dźwięk upadającego na podłogę metalowego czajnika dał jej do zrozumienia, że trochę Smoka zaskoczyła i że trzeba go było jednak uprzedzić, że kogoś przyprowadzi. – No cóż – powiedziała bardziej do siebie niż do Smoka czy Kuby. – Stało się, co się stało. Trzeba się teraz uśmiechnąć i wszystko wytłumaczyć.

Kuba przecisnął się przez szparę i znalazł się nagle w pięknie urządzonej sypialni. W drzwiach do kuchni stał osłupiały Smok, który z miną przypominającą wielki znak zapytania wpatrywał się w szeroko uśmiechniętą Królową rozsiadającą się w fotelu.

– Kochany Smoku, ten tutaj to szewczyk Kuba. Znamy się od dziecka, kochamy szalenie, no i on chce, bym została jego żoną. Niestety mój tato wymyślił, że ten zostanie moim mężem, kto cię zabije, i mamy teraz problem. Mnie oczywiście o zdanie nie spytał, ale już ogłoszono dekret na wszystkie strony świata, więc się nie zdziw, jeśli pod jamą pojawią się jacyś rycerze.

Smok nie odpowiedział, tylko dalej gapił się oniemiały na Królową. Sam już nie wiedział, czemu dziwi się bardziej – dekretowi Króla, wesołemu humorowi dziewczyny, czy temu, że przyprowadziła do jego jaskini człowieka, który chce go zabić.

– Ależ Smoku kochany. Już wymyśliłam sposób, w jaki Kuba ma cię zabić, więc o nic się nie martw, a o siebie najmniej. Zostawiam was samych. Musicie się poznać, bo obaj jesteście dla mnie bardzo ważni. Pa i do zobaczenia!

To mówiąc, wstała, ucałowała w policzek i Smoka, i Kubę, a następnie popychając ich lekko w swoją stronę, przecisnęła się obok szafy i wyszła. W jaskini nastąpiła absolutna cisza i tylko zapach konwalii, które Królowna postawiła na stole, przypominał, że była tu przed chwilą.

– Przecież wie, że nie cierpię konwalii – wymamrotał Smok. – Usypiają mnie. Z cytryną czy bez? – zapytał nagle, patrząc na Kubę.

– Konwalie? – odpowiedział pytaniem zaskoczony chłopak. – Nie, kolego, jakiej chcesz herbaty? Z cytryną czy bez?

Bardzo ważna rozmowa

– Smoku! – zawołał Kuba, gdy tylko zasunął szafę za Królowną. – Jesteś uratowany!

– Bynajmniej – odparł ponuro Wawelski.

– Nie jakieś tam „bynajmniej“, tylko tak. Królowna wymyśliła, jak cię zabić!

– O, doprawdy? To bardzo ciekawe.

– To znaczy, nie tak na śmierć, tylko na niby. Żeby się ludzie od ciebie wreszcie odczepili.

– Nigdy się nie odczepią, oni wolą wierzyć Grubemu Waldkowi i bać się potwora. Zresztą Waldek im nie pozwoli.

Smok opowiedział Kubie o przygodzie z łabędziami, a szewczyk słuchał z oczami i buzią otwartymi tak szeroko, że aż zaczęło Smoka martwić, czy to mu przypadkiem nie zostanie już tak na zawsze.

– A to kanalia, a to dziadyga! – wykrzyknął Kuba. – Jednak jest tak, jak od zawsze mówiła Królowna. Jak ja go dorwę, to...

– Dostaniesz pałką po głowie i tyle – studził go Smok. – Zresztą, i tak nikt ci nie uwierzy. Historia z poczwarą jest dla ludzi ciekawsza. Bardziej ekscytująca. Lepiej opowiedz, jak chcesz mnie zabić. Może to jednak będzie dobry dzień.

– No więc tak – zaczął już weselszym tonem szewczyk, rozkładając na stole rulon papieru, na którym narysowany był ogromny smok i jakieś strzałki. – Wymyśliliśmy to razem z Królowną, chociaż tak szczerze to większość pomysłów pochodzi od niej, a ja tylko pomagałem, ale to ja mam cię zabić, więc to musi być niejako mój plan, a nie jej. No więc – powtórzył – ludzie gadają, żeś ty żarłok. Te wszystkie owce, krowy... Wiadomo, że taki zwykły smok nie da rady tyle zjeść. Pewnie dlatego ludzie na ogół nie poznają cię na ulicy, bo oczekują jakiegoś monstrum. Trochę to śmieszne, przecież pieczara ma małe wejście, ale dla ciebie to chyba „na szczęście“, że tak myślą. Skoro smok w Krakowie jest wielki i żaden rycerz nie dał rady go jeszcze zabić, to ja go zabiję podstępem. Skonstruuję kilka owiec, takich z siarką, smołą, jakimś zielskiem piekącym, licząc na to, że smok to zeżre i opije się wiślanej wody, by ugasić trawiący go ogień, a potem pęknie. I już. Kraków wolny, ludzie szczęśliwi, my bierzemy ślub i wszystko kończy się dobrze. Ty mieszkasz obok nas, jesteś

moim kuzynem z Krymu i masz problemy ze skórą, dlatego tak wyglądasz.

– Dobrze, dobrze, ale jak mam zamieszkać, skoro mnie zabijesz?
Wypchany czy tylko moja głowa na ścianie?

– Co? A, no tak, nie powiedziałem najlepszego! – Kuba był tak przejęty, że zbliżył usta do ucha Smoka i przedstawił mu cały plan.

– Hmm – zamyślił się Smok i wziął do ust wielką garść rodzynek. –
To się może udać.

Po co rycerzowi gramofon?

Pod jaskinią Wawelskiego od rana panował nieznośny harmider. Smok, zaczytany w nowej książce, z zatyczkami w uszach, o niczym co prawda nie wiedział, ale to, co działo się pod jego pieczarą, wyglądało i komicznie, i przerażająco.

Była trzecia sobota miesiąca, dzień, na który wyznaczono kolejne próby zabicia potwora, a przyczyną tego hałasu i nieznośnego zgiełku byli oczywiście rycerze odziani w brzęczące zbroje, ich giermkowie i wszechobecne gramofony.

Nie każdy bowiem wie, że wielu najznakomitszych rycerzy, zwłaszcza tych z Francji i Hiszpanii, lubowało się w muzyce tanecznej, która przed każdą walką uspokajała ich zszargane nerwy. Nikt z nich nie umiał sobie wyobrazić ruszenia do walki bez odsłuchania przepięknego menueta, który pozwalał pójść na bój bez strachu.

Zupełnie inaczej zapatrywali się na to rycerze z Niemiec i Austrii, których rytmiczne marsze rozbrzmiewały chrapliwie ze starych gramofonów. Ich płyty były już dawno zdarte, igła co chwilę przeskakiwała i nie mogli się przez to skupić, ale na nowe winyle zwyczajnie żalowali pieniędzy.

– Skoro ta płyta pomagała mi już w tylu turniejach, szkoda ją zmieniać – rzekł Wolfgang Bez Nosa z małej wsi pod Berlinem. – Lepiej niech ciągle przeskakuje i skrzypi, niż miałbym kupić nową, a ta by, *Herr Gott*, nie zadziałała!

Najgorsi byli jednak rycerze ze Szwecji. Ich przedbitewna medytacja przy wtórze ludowych pieśni z Laponii śpiewanych przez tybetańskich mnichów była nie do zniesienia. I pewnie o to im chodziło.

Na polu przed jaskinią panował uporczywy hałas. Kakofonia rycerskich nawoływań, szczęku broni i kilku rodzajów muzyki charczącej z głośników. Wyglądało to trochę jak źle zorganizowany jarmark, albo i cyrk, i gdy tylko krakowianie z Królem na czele zobaczyli tę rycerską zgraję, wiedzieli, że Smok może dziś spać spokojnie. Wiedzieli, że tej soboty się go nie pozbędą.

Pierwszy ruszył przed siebie John The Bolloks z Dover. Zaśpiewał pieśń bojową, której nauczył się od swojego dziadka, i puścił się w stronę jaskini. Przy okazji okazało

się, że rozpędzając się na swym czarnym koniu do ataku, zapomniał, jak niewysokie jest wejście do pieczary i z głośnym hukiem rąbnął w strop. Spłoszony koń wyskoczył spod rycerza na sekundę przed wypadkiem i, obracając się w lewo, uciekł, nie patrząc na swojego jeźdźca, który powoli zsunął się na ziemię. Zebrani słyszeli, że coś mamrotało, ale nie dość, że robił to w obcym dla nich języku, to jeszcze zgnieciona na twarzy przyłbica tłumiała jego słowa.

Gdy tak leżał nieruchomo na trawie, rycerze francuscy zapakowali swoje gramofony na wozy i w rytmie menueta odjechali w stronę Wieliczki, której kopalnie postanowili nagle zwiedzić, zapominając o Królewnie i ewentualnym ślubie.

W tym samym momencie ustawiona przez Waldka szafa przewróciła się z hukiem, wydając z gramofonu dziwny ryk igły przesuwającej się po płycie, co na zewnątrz zabrzmiało jak ryk smoka – tak przerażający, że nawet krakowska gawiedź uciekła czym prędzej do domu.

Tymczasem Smok Wawelski, nieświadomy zamieszania pod pieczarą, oddawał się swoim dwóm największym pasjom – jadł spokojnie rodzynki i czytał książkę. Robił dokładnie to, co kochał najbardziej. Jaskinia była głęboka, drzwi solidne i grube, dzięki czemu cieszył się niemal kompletną ciszą. Nic, co działo się tuż pod jaskinią, czyli muzyka, brzdęk zbroi i wszelakich broni, nie docierało do jego uszu. Był tak zatopiony w najnowszej lekturze i tak rozsmakowany w rodzynkach, że nie miał nawet czasu wyjść na zewnątrz i zobaczyć, o co tym wszystkim rycerzom chodzi. A że chodziło im o jego głowę, zupełnie, ale to zupełnie mu nie przeszkadzało.

– Tak, książki – westchnął ciężko Smok. – Mógłbym czytać po kilka dziennie, gdybym tylko umiał szybko to robić. Tyle w nich ciekawych historii, tyle przygód, tylu wspaniałych herosów. I tyle trudnych słów. Sam nigdy bym nie wpadł, że na kolor czerwony można również powiedzieć „karmazynowy”. „A może to jednak

niedobrze czytać szybko?“ – zastanowił się od razu. „Może książki należy czytać powoli? Wcale się nie śpieszyć tylko... zaraz, zaraz, jakie to było słowo? A! DELEKTOWAĆ się! O, to, to właśnie! Delektować się. Czytać nie za szybko, by wszystko dobrze przemyśleć i zapamiętać. Tak, bez książek życie byłoby zupełnie inne. Prawie jak bez słodyczy albo bez pięknego zachodu słońca. O, albo jak bez kwiatów na wiosnę i bez śpiewu ptaków. Byłoby takie... zwyczajne. Ciekawe, czy ludzie w Krakowie czytają dużo książek. A mieszkańcy całego królestwa? Taaaak, ciekawe, co oni czytają”.

Rozmyślając o tym, przewrócił kolejną kartkę wyjątkowo grubej książki, od której już od dawna nie mógł się oderwać. Napisał ją niejaki Marco Polo, który podążając śladami Benedykta Polaka, dotarł aż na koniec świata. Tam, gdzie wstaje słońce.

Wielkie oszustwo i co z tego wynikło

Kuba, z pomocą kilku kolegów, zbierał już od dawna stare skóry, zepsute ryby, smołę i siarkę. By jego plan się powiódł, potrzebował jeszcze trochę Czarnego Pudru, jak mawiano na pewien magiczny proszek, który po podłożeniu ognia wybuchał niczym błyskawica. Ponoć huk było przy tym tak dużo, że zwykła gawiedź uciekała w popłochu do domu, a dokładnie na tym szewczykowi zależało.

Czarny Puder był jednak nie do zdobycia. Nie chodziło tu nawet o cenę, bo Kuba i tak nie miał za co go kupić, ale o sam fakt, że Czarny Puder był w posiadaniu tylko Króla i tajemniczego człowieka ze Wschodu, o którym ludzie opowiadali sobie z lekką pogardą i strachem. Ponoć mieszkał kiedyś w kraju na końcu świata, gdzie Czarny Puder wynaleziono, i znał się na nim jak nikt inny w Krakowie. Ba, w całej chyba Polsce! Ten tajemniczy człowiek był tak tajemniczy, że szewczyk nie wierzył do końca w jego istnienie i po kilku dniach wypytywania o Czarny Puder zrezygnował z tej części planu. Musiał wymyślić coś innego.

Kuba się śpieszył. Swój plan musiał przeprowadzić zimą, gdy noc zastaje miasto szybko i gdy ludzie chętniej przesiadują w domu. W dodatku, na szczęście dla niego i nieszczęście dla miasta, każdego roku, gdy mróz skuwał Wisłę, cały Kraków spowity był dymem z pieców, przy których grzali się mieszczanie.

Takiego właśnie dnia, pod koniec marca, gdy powietrze stało i widać było jeszcze mniej niż zwykle, szewczyk ustawił na Rynku kilka skrzynek, by lepiej go z nich było widać. Wszedł na nie w swoich najlepszych szatach i krzyknął:

– Ludzie! Obywatele Krakowa! Dziś nadszedł dzień, w którym wyzwolę was od tego parszywego smoka, który przywędrował tu do nas z obcego kraju, by nas straszyć, kraść nasze krowy i porywać niewiasty. Wielu już próbowało i żadnemu się nie udało, choć byli to rycerze znamienici, z Polski i innych ziem, ale to ja go dla was zabiję.

Gdy to powiedział, tłum zebrany na rynku zarechotał jak na zawołanie.

– Cisz! – krzyknął Król, który niespodziewanie znalazł się na

Rynku. – Wysłuchajcie chłopaka. To taki sam krakus jak każdy z was i ma prawo spróbować. Każdemu mamy obowiązek pomóc.

Na Rynku zaległa absolutna cisza. Można by powiedzieć, że po słowach Króla nawet gołębie zamilkły, a konie przy dorożkach wstrzymały oddech. Kuba miał wrażenie, że słyszy nerwowy oddech Smoka ukrytego na strychu jednej z kamienic i przyglądającego się krakowianom.

– Ludzie! – ciągnął dalej. – Bym mógł zabić Smoka, potrzebuję, byście wszyscy zostali jutro w domu. Boję się, że jeśli mój fortel się nie powiedzie, poczwara wpadnie w taką furię, że zabije każdego, kogo napotka.

Jeszcze nie skończył mówić, a już ludzie pośpiesznie rozpiezchli się do domów. Chwilę potem w całym Krakowie słychać było trzask zamykanych okiennic i ryglowanie drzwi.

Pierwsza część planu się powiodła.

Następnego dnia o świcie Kuba umieścił na brzegu Wisły swoją fałszywą owcę, którą według planu miał połknąć smok, oraz fałszywego smoka, którego od tygodni szył z taką pieczołowitością. Ze skór uszył coś na kształt wielkiego worka, w którym ukrył jeszcze więcej skór, trochę siarki, smoły i starych ryb. Ktoś powiedział kiedyś, że smok, przez swoje łuski, musi śmierdzieć jak ryba, więc Kuba, idąc tym tropem, nie chciał wyprowadzać ludzi z błędu. Skoro nikt nie widział smoka, nie wiedziano także, jaką ma skórę, jak pachnie ani jak wygląda jego głowa. Szewczyk mógł więc przygotować taką poczwarę, jaką sobie wyobraził. Doskonale zdawał sobie sprawę, że kto jak kto, ale Wawelski jest smokiem czystym i zadbanym, jednak o tym wiedziało tylko kilka zaufanych osób.

W samym środku worka Kuba umieścił krowi żołądek, który podłączył do kowalskiego miecha. Nie udało mu się zdobyć Czarnego Pudru, więc znalazł inny sposób na wybuch. Może nie tak głośny, jak planował, ale tak samo skuteczny.

Rozłożył to wszystko w Tyńcu, a nie pod Wawelem, bo nie wierzył w swoje szczęście i spryt tak bardzo. Przekonał ludzi, że dla bezpieczeństwa lepiej wyciągnie smoka z pieczary gdzieś na

peryferia. Ludzie byli tak wystraszeni, i to od tak dawna, że gdy tylko usłyszeli, że „tak będzie bezpieczniej“, zgodzili się na wszystko.

Wyciągnął miech i zaczął pompować. Mijały minuty, krowi żołądek wciąż się wydymał i fałszywy smok był już tak ogromny, że przeraziłby samego Wawelskiego, gdyby ten zobaczył, jaką kreaturę przygotował jego przyjaciel.

Nagle rozległo się wielkie BUM! Skóry, siarka i smoła rozleciały się na wszystkie strony. Szewczyk wrzucił rybnie resztki do Wisły i wlał do niej kilka beczek krowiej krwi, by z Wawelu widać było, że jego plan się powiódł. Siedział roztrzęsiony na brzegu rzeki i czekał na radosny sygnał zamkowych heraldów ogłaszających miastu śmierć smoka. Minęło pół godziny. Wielka plama krwi dopływała powoli do wiślanych bulwarów. Rozległ się huk armatni, a dziesiątki długich trąb oznajmiły Krakowowi, że od dziś nie musi się już niczego obawiać.

Szewczyk Kuba, o dziwo, z sercem cięższym niż zawsze wracał pieszo do Krakowa. Czekala tam na niego Królowna, którą kochał od zawsze, i jej ojciec, którego oszukał, by ratować przyjaciela.

To tylko fragment całości.

Książka będzie dostępna od czerwca 2020

Jeżeli chcesz wesprzeć wydanie książki i kupić ją w PRZEDSPRZEDAŻY wejdź **pod link** i to po prostu zrób ;)

Pozdrawiam, **Robb Maciąg**
